

# Anna Nasiłowska

---

## Joanna, nasz sekretarz

---

Teksty Drugie : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 1/2 (60/61), 229-233

---

2000

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

# Pożegnania

## Anna NASIŁOWSKA

Joanna, nasz sekretarz

Nie pamiętam, kiedy poznałam Joasię. Gdy zaczęłam pojawiać się w Instytucie, ona już była, zadomowiona w bardzo domowym pokoju redakcji „Biuletynu Polonistycznego”, który wydawał się lokalnym centrum wszelkich informacji i życia towarzyskiego. Trudno jej było nie spostrzec: zwracała uwagę dziwną urodą, ciemną karnacją, oryginalnością. Jakby namalował ją Paul Gauguin. Wiedziałam też, że ma córkę Julię, nieco chropowaty głos i bywa ironiczna.

Potem w 1990 roku Joasia znalazła się wśród zespołu opracowującego nowo powstałe „Teksty Drugie”, od 1991 – jako samodzielny sekretarz redakcji. Nie czuła się w nowym miejscu zbyt pewnie. Kiedyś napisała list do Edwarda Balcerzana – był wówczas redaktorem – o jakichś drobnych sprawach, prośbach, terminach czy korektach i podpisała go „Teksty Drugie”. Balcerzan był zdziwiony i urażony. Bo kto właściwie się do niego zwracał? Duch redakcji? A to po prostu Joasi zabrakło odwagi, by postawić tam, pod listem do sławnego profesora własne „ja”. Wydawało jej się niestosowne, że Joanna Łuczyńska może mu o czymś przypominać czy wręcz go ponaglać.

Joasia miała coś, co jest tajemnicą funkcji sekretarza redakcji: umiała przemieniać wspólną pracę w przyjemność. Jej dowcip i ironia odgrywały w tym bardzo ważną rolę. Ileż to cennych pomysłów rodzi się tylko dzięki temu, że ktoś przyjdzie tak sobie, pogadać. Ileż to konfliktów udaje się rozładować przez śmiech. Wiele osób miało u niej jakieś dziwaczne przezwiska. Jej powiedzonka były ulotną sztuką słowa. Pospolite patrzenie w okno otrzymało nazwę: „chwila bezmyślnej refleksji”, wielce uszczypliwą wobec naukowego żargonu. Jej ironia miała jednak głębsze dno, była podwajaniem znaczeń. Jak u Białoszewskiego: „Odwrotnie niż odwrotnie / I znów odwrotnie” (*Tako rzeczy Kicia Kocia*). To był taki typ kontestacji, bardzo przydatnej i w realnym socjalizmie, i później.

Wolała dziwaczny fason od elegancji i własny styl zawsze przedkładała nad nudną poprawność. A w pewnym momencie stało się jasne, że Joasia jest rzeczy-

## Pożegnania

wiecie jakimś duchem redakcji i że styl pisma można z nią utożsamiać. Bo „Teksty Drugie” chciały być pismem, które woli być kontrowersyjne niż nudne.

Joasia była barwna, ekspresyjna. Koleżanki z dawnego „Biuletynu” zawsze mówiły, że nastrój Joasi poznaje się po rzucaniu torbami – jeśli wkraczając do ich pokoju, ciskała torbę w taki sposób, że zaczynały wypadać z niej przedmioty, to już było wiadomo, że jest zdenerwowana i zaraz rozpocznie ognistą (a nawet soczystą) tyradę na temat przyczyn. Najgorzej było, jeśli zaczynało się to od słów: „Wszystko źle!”. Wtedy trzeba było wysłuchać i zaopiekować się tym, co wypadło z torby.

Z przedmiotami Joasia w ogóle miała stosunki nie najlepsze, w odróżnieniu od stosunków z ludźmi. Przedmioty ją denerwowały, ludzie ciekawili. Potrafiła empatycznie wczuć się w styl artykułu i za pomocą nieznaczących posunięć oczyścić go, wydobywając na światło lepszą wersję, zgodną z wyobrażeniem w głowie autora. Jej praca nad tekstem była jednak obcowaniem z czymś duchowym, bo sam tekst jako zbiór kartek raczej nie budził jej szacunku. Bywało, że jakieś papiery przepadały w jej przepastnych teczkach, wynurzając się niespodzianie po kilku latach. A my potulnie czekaliśmy na ten moment cudownego ich odzyskania. Nie należało jej strofować. Ona sama wystarczająco była zgnębiona tym, że to się zdarza.

Joasia nie była rozsądna. Była szalona. Obce jej były tzw. życiowe kalkulacje czy banalna zapobiegliwość. Był taki okres – sama mi o tym opowiadała – gdy zrezygnowała z zamykania mieszkania na klucz, uznając, że noszenie kluczy jest bardzo niepraktyczne, a poza tym nie ma u niej niczego, czym ktoś inny mógłby się szczególnie wzbogacić. I jakoś jej nie okradli.

Kiedyś do naszego nowego pokoju redakcyjnego zajrzała niespodzianie Pani Dyrektor i spostrzegła Joasię z papierosem (co było zabronione). A Joasia, miast giąć się w ukłonach, niepostrzeżenie gasząc peta w szufladzie, rzuciła tylko, zaciągawszy się:

– O! Co to! Kontrola?

No tak, Joasia chyba nie wytrzymałaby długo w instytucji, w której obowiązuje urzędowy styl i pęd do kariery. Ona była odwrotna.

Czasami z redakcji wychodziłam okropnie zmęczona – od śmiechu, takiego do łez. Często sypały się anegdoty. Na przykład, jak to Joasia wraz z Ryszardem Przybylskim w czasie, gdy papierosy były na kartki, obstawiali kioski na Krakowskim Przedmieściu. Okazali się bardzo uzdolnionymi staczami kolejkowymi, dystansując w przedbiegach sporą drużynę emerytów, ale papierosów i tak nie było, bo nie dowieźli. A tymczasem ich apetyt na coś lepszego niż „ruskie” pospolite „Mewy”, wyostrzony długim czekaniem, sięgnął zenitu.

Najbardziej utkwiała mi w pamięci inna opowieść. Jak to Joasia kiedyś, tknięta nagłym ukłuciem, że coś się stało z Julką, zadzwoniła do domu. Po kilku sygnałach telefon został odebrany, ale w słuchawce dało się słyszeć tylko jakieś słabe westchnienie i połączenie zostało przerwane. Bardzo zaniepokojona zadzwoniła ponownie – telefon był zajęty. I jeszcze raz – z takim samym skutkiem. Skrajnie niespokojna wybiegła z Pałacu Staszica. Biegła Nowym Światem w kierunku autobusu, ale myśl o jego ślimaczej jeździe była nie do zniesienia. Gdzieś w okolicach ron-

da zatrzymała taksówkę, która oczywiście też była zbyt powolna, bo nawet helikopter nie byłby tu wystarczająco prędkie. Wyobraźnia produkowała kolejne, coraz straszniejsze wersje zdarzenia, które zaszło na miejscu.

W domu okazało się, że Julki nie ma, a na telefonie radośnie wyleguje się jamnik, Tobiasz, który podniósł słuchawkę. Joasia zawsze mówiła, że jej jamnik jest bardzo ucziłowiczony.

– Taka sobie anegdotka – powie ktoś.

Wydaje mi się, że w niej streszcza się codzienna groza, którą ją prześladowała. To podejrzenie, że życie jest bardzo kruche i że w każdej chwili może stać się coś, czego nie da się unieść. Nie wiem, czy ktoś, kto tego nie przeżył, potrafi sobie wyobrazić, jak bije serce w momentach skrajnego niepokoju o dziecko. Potem trzeba sporo czasu, by jakoś wrócić do normalnego życia i znów uwierzyć, że codzienność jest jako tako bezpieczna, przynajmniej po wierzchu. Bo był też inny lęk, stały i podstępny, o którym rozmawialiśmy kiedyś, wiele lat temu: że najgorsze, co mogłoby się zdarzyć nam, samotnym matkom córek, to umrzeć zbyt wcześnie na podstępną chorobę.

Tak, rozmawialiśmy o tym może w 1992, a najpewniej w 1993 roku. I chyba nawet wtedy nie nazwaliśmy tej choroby, bo po co. A potem w moim życiu bardzo wiele się zmieniło, tak wiele, że ten lęk już mnie nie dręczy. A Joasia umarła na tę podstępną chorobę, którą wtedy baliśmy się nazwać. Stało się to kilka lat później, ale też – zbyt wcześnie. I chciałoby się tu rzucić jakąś torbą, tak spektakularnie, z impetem i z wypadaniem kluczy, portmonetek, notesów, długopisów i innych okropnych rzeczy, które wcale nie są ważne, choć tyle troski wkłada się w ich noszenie i ochronę.

Z mojej perspektywy miało to straszną dramaturgię. Kiedy w połowie grudnia 1998 roku żegnałam się ze wszystkimi na chwilę, żeby urodzić trzecią córkę, byłam spokojna o wszystkie redakcyjne sprawy. Joasia bardzo dobrze dawała sobie radę, mimo że od jakiegoś czasu sekretarzowała także w „Midraszu”. Mojej córeczce nadałam imię Joanna. Chyba nasza Joasia była z tego dumna, choć o tym nie rozmawialiśmy. Zadzwoeniłam do niej jeszcze ze szpitala.

A potem w styczniu 1999 roku wielokrotnie dzwoniłam do redakcji, dowiadując się o różne sprawy. Pod koniec stycznia telefon często nie odpowiadał. Zadzwoeniłam więc do Joasi do domu.

– Choruję – powiedziała.

– Ach, tak, grypa w tym roku jest ciężka...

– Nie. To nie grypa. To rak – powiedziała z absolutnym spokojem, trochę drwiąco. A ja poczułam, że muszę szybko coś powiedzieć, żeby tylko nie zapadła cisza.

– Może powinnaś rzucić palenie...

– Już to zrobiłam – stwierdziła rzeczowo.

I rozmawialiśmy wtedy o tym, że będzie się musiała po prostu poddać wszystkiemu, co zaproponują lekarze, choćby to było bardzo trudne do zniesienia. Ale to było jeszcze trudniejsze, bo lekarze nie wiedzieli, co robić. Były jakieś kłopoty ze

## Pożegnania

szczegółową diagnozą i postanowienie, że trzeba walczyć, nie zapewniało nawet minimum spokoju. Mijał czas i wciąż nie było wiadomo: jak?

Spotkałyśmy się wtedy jeszcze w instytucie, był może luty, może marzec, i Joasia zapytała, czy mam ze sobą zdjęcia mojej najmłodszej córeczki. A ja nie miałam, bo zapomniałam włożyć je do torby.

– Więc już nigdy nie zobaczę, jak ona wygląda! – wykrzyknęła (rzucając swoją torbę) i to było straszne z tym „już nigdy” i zarazem niezwykle serdeczne wobec mnie, bo przecież chciała zobaczyć, jak wygląda moja córeczka. I już wtedy rozumiałam, że nie umiem zaprzeczyć wprost temu jej „nigdy”, a przecież powinnam z nim walczyć.

Ze zdjęciami jeszcze się jakoś udało, zobaczyła je i wydobył się z niej taki rodzaj śpiewu-mruczenia, jak to potrafią niektóre kobiety na widok niemowląt, a ja pomyślałam i chyba nawet powiedziałam, że najbardziej przydałyby się jej jeszcze w życiu jakieś małe dzieci, najlepiej wnuki. I chyba w tym momencie można było to powiedzieć, bo na chwilę wydawało się, że znów obowiązuje ta lepsza, bezpieczniejsza wersja codzienności.

Potem dzwoniłam do niej wiele razy, zawsze z jakimiś redakcyjnymi nowościami, starając się zresztą, żeby były to dobre wiadomości, a jeszcze lepiej – zabawne historyjki, a najlepiej – śmieszne. To było ważne, bo jej wiadomości stawały się coraz gorsze. I bardzo ważne było też dla niej, że w redakcji wciąż na nią czekamy. Tymczasowo większość prac organizacyjnych wzięł na siebie Adam Makowski, zawsze chętny do pomocy. Resztą obowiązków dzieliliśmy się jakoś, ale przecież Joasia była nie do zastąpienia.

Odczuwała opór przed szpitalem. Całe otoczenie Centrum Onkologii wydawało jej się terenem zarażonym, pustynią. Opowiadałam jej więc o widoku z mojego okna, o tym, że zawsze, gdy odrywam wzrok od komputera i łowię myśl, by napisać kolejne zdanie, to patrzę na rysujący się w dali budynek Centrum Onkologii, albo – nieco bliżej – na Hospicjum Onkologiczne. I jeśli ona, obcując z moim pisaniem od lat, nie dostrzegła w nim niczego tragicznego, to widać da się tę przestrzeń wpisać w siebie, zracjonalizować, oswoić. To był poważny argument, filologiczny, bo przecież ona znała na wylot wszystkie moje sztuczki stylistyczne.

Ze zdumieniem obserwowałam, jak coraz bardziej opuszcza ją ironia, która była jej główną bronią przeciwko światu. Odstaniają się całe pokłady serdeczności i słodyczy. To było porażające.

Wreszcie, to było w czerwcu, usłyszałam od niej jako komentarz do wiadomości, że szczęśliwie złożyliśmy do druku kolejny numer:

– Wiesz, jest ze mną tak źle, że nawet mnie to nie obchodzi.

A ja wykręciłam się jakoś, udałam, że nie zrozumiałam, choć ona wiedziała dobrze, że rozumiem, tylko że nie znalazłam riposty. I już do końca rozmawiałyśmy właśnie tak. Ona dawała znać w różny sposób, że nie spodziewa się już niczego, a ja usiłowałam znaleźć argumenty, świadczące o tym, że może nie wszystko jest stracone. I chyba tak musiało być, i podobnie postępowali chyba wszyscy wokół, ci nie najważniejsi, ale bliscy. W ostatniej naszej rozmowie tłumaczyłam jej, że nie da się

wykluczyć, że za bardzo wiele jej cierpień odpowiada brutalna chemioterapia, a wobec tego uboczne skutki leczenia mogą się jeszcze cofnąć. Nie zaprzeczała. Przyjmowała te karkołamne wywody z wdzięcznością. W okresie choroby Joasia stała się uosobieniem trzeźwości i rozsądku.

W połowie lipca wyjechałam na wakacje, zabierając ze sobą dwie książki. *Oksanę* Włodzimierza Odojewskiego i esej Susan Sontag, *Choroba jako metafora*. Bohater *Oksany* sądzi, że jest w ostatnim stadium raka. Odmawia poddania się leczeniu i udaje się w podróż do Włoch. Spotyka w hotelu piękną Ukrainkę, Oksanę, i wdaje się w ognisty romans. A potem ona ginie przypadkowo w wypadku, a on zostaje ocalony: może na skutek miłości rak mija bez śladu. Fabuła tej powieści wydała mi się taką bzdurą, że w „Polityce” ukazała się moja mocno „zjeżdżająca” recenzja. Nie ma tu miejsca, by szczegółowo tłumaczyć moje racje, a zarzuty nie dotyczą wyłącznie nieprawdopodobnego wyleczenia bohatera. Na to można by się ostatecznie zgodzić, bo nieprawdopodobne rzeczy się zdarzają (choć skądinąd wiemy, co sądził o tym Arystoteles). Ale to, że hasło „ostatnie stadium raka” nie było dla mnie w tym momencie tylko umownym, kulturowym skrótem, niewątpliwie nastroiło mnie do tej powieści nieufnie.

Sontag jest przeciwieństwem Odojewskiego. Walczy ona z wszelkimi nieracjonalnymi przeświadczeniami i bezlitośnie rozprawia się z mitologią, jaką osnuto w XIX wieku gruźlicę. Każę odrzucić mity. Powtarza z całym naciskiem, że z rakiem trzeba walczyć i choć wyniki są wciąż mizerne, to nadejdzie dzień, gdy ta choroba stanie się uleczalna, gdyż poznamy dobrze jej mechanizm. Sontag wydawać się może okrutna, bo zmusza do trzeźwego spojrzenia na rzeczywistość. Wydaje się, że Odojewski obiecuje więcej, ale to Sontag była rzeczywiście chora i została wyleczona. Joasia nie zaniedbała niczego, żeby się ratować. I ona, szalona, nieobliczalna, w tym ostatnim okresie stała się nawet przezorna.

Kiedy wróciłam z wakacji, telefon Joasi milczał. Była już w innym domu, ale szybko okazało się, kto ma aktualne wiadomości. Nie były dobre. Z ostatnich relacji wynikało jednak, jakby śmierć nastąpiła zupełnie niespodziewanie.

Chorując tak strasznie, potrafiła pielęgnować nadzieję. Nie tę mitologiczną, dziką wiarę w nagłe ozdrowienie. To była najbardziej klasyczna, dojrzała forma racjonalistycznej nadziei.